



www.omp.org.pl
www.polskietradycje.pl
www.youtube.com/osrodekmysli
www.omp.org.pl/blog

JACEK KLOCZKOWSKI

Przeklęte miejsce Europy? Meandry polskiej geopolityki

Tekst z pracy zbiorowej *Przeklęte miejsce Europy? Dylematy polskiej geopolityki*
(Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2009)

Pokusa, aby większość niepowodzeń Polski na arenie międzynarodowej w minionych stuleciach tłumaczyć jej położeniem geopolitycznym, jest silna i w znacznej mierze usprawiedliwiona. W istocie, trudno było o bardziej niefortunniejszą konfigurację na Starym Kontynencie niż ta, w której centrum się znaleźliśmy. Można wiele mówić i pisać o konieczności przewycięzania stereotypów i resentymentów, ale nie sposób zapomnieć o tym, że Rosja i Niemcy – bo to oczywiście sąsiedztwo z nimi tak dramatycznie zaważyło na naszej przeszłości – należały do najbardziej zaborczych państw w dziejach Europy. W dodatku swą imperialną politykę realizowały często w sposób niezwykle brutalny, czego tragiczne apogeum nastąpiło w wieku XX.

W analizie dziejów polskiej geopolityki można więc zwracać uwagę głównie na trudności, na jakie napotykalismy z racji na swe położenie między Niemcami a Rosją, kwitując je krótkim stwierdzeniem, że były na ogół zbyt duże, aby się z nimi skutecznie uporać. To byłoby jednak zbyt proste i jałowe. Geopolitycznego położenia co prawda się nie wybiera, ale trudno zarazem uznać, że przesądza ono raz na zawsze o losach danej wspólnoty politycznej, można je bowiem próbować kształtować. Polacy różnie sobie z tym radzili. Burzliwe dzieje Polski są z tego powodu niezwykle interesującą lekcją na temat czynników, jakie przesądzają o triumfach bądź klęskach w geopolitycznych rozgrywkach. Mówią też wiele o naszym narodowym charakterze i o specyfice polskiej polityki. Dlatego warto je analizować, szukając inspiracji do radzenia sobie z wyzwaniem, przed jakimi wciąż stajemy.

Modernizacja przez geopolitykę

Na geopolityczne usytuowanie Polski można spojrzeć jako na szansę, z której nasi przodkowie – w ostatecznym rozrachunku – nie potrafili skorzystać: szansę zbudowania silnego, efektywnego, skutecznie dbającego o swe interesy państwa. Podkreślała to zwłaszcza krakowska szkoła historyczna, dowodząc, że położenie I Rzeczypospolitej powinno być skłonić jej elity do gruntownej zmiany ustroju i uczynienia go adekwatnym do zagrożeń, z jakimi musiała się borykać.

Tok rozumowania krakowskich historyków był prosty: gdyby w Rzeczypospolitej istniał silny rząd – niekoniecznie absolutny, jak to na ogół w Europie w XVI-XVIII wieku bywało – a państwo funkcjonowało sprawnie, łatwiej byłoby jej wykorzystać potencjał, jakim niewątpliwie dysponowała – nie tylko ten wynikający z ogromu jej terytorium i dużej liczby mieszkańców, ale także z siły przyciągania polskiej kultury. Silniejsza wewnętrznie Polska mogłaby skuteczniej opierać się rywalom. Jeśli nawet nie zdołałaby zdusić ich imperialnych zakusów w zarodku, to byłaby w stanie stawić im znacznie większy opór w wieku XVIII.

Być może Walerian Kalinka, Józef Szujski i Michał Bobrzyński zbyt surowo ocenili porządek ustrojowy i kulturę polityczną I Rzeczypospolitej, niemniej analizując jej geopolityczne losy warto zwrócić uwagę na ich rozważania. Zwłaszcza w jednym trzeba przyznać im rację. Kluczowe dla przyszłości Rzeczypospolitej procesy miały miejsce w wiekach XVI i XVII, gdy była ona potęgą, zdolną rozdawać karty w tej części Europy. Wówczas mogła na długi czas ukształtować tutejszą mapę polityczną zgodnie z własnymi interesami. Była tego nawet blisko, gdy skutecznie potykała się z Rosją i gdy zniszczenie państwa pruskiego zdawało się niemal na wyciągnięcie ręki. Zabrakło wówczas wizji i konsekwencji, o które znacznie łatwiej, gdy istnieją zcentralizowane ośrodki decyzyjne, mające instrumenty do realizacji stawianych przez siebie celów: silną armię i efektywną administrację. Pierwsza Rzeczpospolita zbyt rzadko mogła się chlubić prężną organizacją aparatu państwa i potęgą wojska. Osiągała niekiedy spektakularne sukcesy, gromiąc w wielu pamiętnych kampaniach potężnych rywali – Turków, Krzyżaków, Szwedów czy Rosjan – ale za często były to pojedyncze triumfy, które nie przynosiły korzystnych długofalowych rozstrzygnięć. Nie można więc historii I RP przedstawiać jako pasma klęsk, jednak z drugiej strony trudno oprzeć się wrażeniu, że jej dzieje to ciąg niewykorzystanych – z różnych, nie tylko ustrojowych, powodów – szans na ugruntowanie mocarstwowej pozycji w Europie. Zaistniała wokół niej konfiguracja międzynarodowa postawiła ją tymczasem wobec rzadkiej w dziejach alternatywy: musiała albo zgnieść rywali, albo sama paść pod ich ciosami. Geopolityczna pętla poczęła bowiem zacieśniać się wokół państwa, które nie chciało, a może nie umiało przyjąć reguł gry narzucanych przez Rosję i Prusy.

Uśpiony instykt imperialny

Rzeczpospolita nigdy nie przejawiała ambicji imperialnych w skali, w jakiej ujawniały się one w polityce rosyjskiej i pruskiej (a potem niemieckiej). Żeby móc je sprawnie realizować, należałoby poczynić sobie znacznie bardziej brutalnie niż to Polacy mieli w zwyczaju. Nie chodzi tylko o skuteczność na polach bitew i samą skłonność do najeżdżania sąsiadów, z której nigdy zbyt nie słydełiśmy. Decydując się na ostateczne siłowe rozwiązanie konfliktu z Rosją czy z Niemcami, trzeba by nie tylko pokonać rywala militarnie, ale także zająć jego terytorium, a przynajmniej wydatnie je okroić, narzucić mu swą administrację, tłumić potem w zarodku wszelkie przejawy oporu, słowem prawdopodobnie czynić to wszystko, czego Polacy sami doświadczyli w czasie zaborów. Jest to wizja cokolwiek mało realistyczna. Można co prawda przywołać wydarzenia z przeszłości, gdy w imię swej racji stanu nasi przodkowie popełniali czyny okrutne, ale były to zdarzenia incydentalne. Na tle największych potęg europejskich – a zwłaszcza Rosjan i Niemców – trudno nam zarzucić szczególną agresywność i bezwzględność. W logice rozwoju Rzeczypospolitej nie leżało stanie się zaborczym supermocarstwem europejskim.

Nie przypadkiem niewiele jest w naszej myśli politycznej manifestów nawołujących do prowadzenia polityki imperialnej. Owszem, trudno było je formułować pod zaborami, ale także w innych okresach – może poza latami trzydziestymi XX wieku – nie zdobywały one dużej popularności. Jeśli powstawały programy zaczepne, to głównie z chęci uprzedzenia zaborczych zamiarów przeciwnika. Polska myśl polityczna oddaje pod tym względem istotę naszej kultury politycznej i charakteru narodowego. Nie gloryfikując go bynajmniej, nie sposób nie zauważyć, że zaborczość nie była jego rysem charakterystycznym. Rosjanie i Niemcy nie mogliby pod tym względem wystawić sobie równie łaskawego świadectwa, a to właśnie z nimi najdłużej przyszło nam rywalizować. Owszem, Polska miała w różnych okresach swych dziejów także innych wrogów. Taka jest po prostu natura ludzka i normalne koleje historii. Można biadać nad tym, że nie potrafiono powstrzymać się od wojen, ale byłoby to nic nie wnoszącym pięknoduchostwem.

Najeżdżali nas więc Szwedzi i Turcy, potykaliśmy się z Czechami i Austriakami, miewaliśmy ostre konflikty z Ukraińcami i Litwinami. Jednak tylko w przypadku Rosji i Niemiec antypolska polityka nie była okresową tendencją, lecz przez wieki stałym założeniem rosyjskiej i niemieckiej myśli politycznej. Co gorsza, niejeden raz polityka ta przekraczała ramy przyjęte w cywilizowanym świecie – II wojna światowa nie była niestety jedynym okresem, gdy przejawiała się w formach barbarzyńskich, choć wówczas osiągnęły one

bezprecedensowe rozmiary. Próby niszczenia polskości przez rusyfikację i germanizację w czasie zaborów oraz powojenne brutalne zniewolenie Polski przez Sowieców to kolejne dowody, że geopolityczne rozgrywki, w jakich musieli brać udział Polacy w ostatnich stuleciach, nie były zwykłą grą, jakich w dziejach Europy toczyło się bez liku.

Kłopot z sojuszami

Gdy wspólnota polityczna nie dysponuje potencjałem wystarczającym do samodzielnego uporania się z przeciwnikami, staje przed nią alternatywa: neutralizowanie ich przewagi lub zwiększenie swojej poprzez sojusze z państwami, które miałyby interes we współdziałaniu wymierzonym we wspólnego rywala. Polsce takie alianse nigdy nie wychodziły najlepiej. Sojusznicy często bądź nas zdradzali, bądź zostawiali samych sobie. Można by zwłaszcza napisać wielką księgę o zawiedzionych nadziejach związanych z Francją, ku której spośród potęg europejskich Polacy zwracali się w swej historii bodaj najczęściej jako do potencjalnie najlepszego alianta. Nie zawsze zawodność sojuszy wynikała ze złych intencji czy z nieudolności naszych sprzymierzeńców; zdarzało się również, że przecenialiśmy ich potencjał albo naszą rolę w ich planach. Klasycznym, opisanym także w literaturze pięknej (któż nie pamięta nadziei Ignacego Rzeckiego?), przykładem pozostaje wiara w Napoleona III.

Aby prowadzić skuteczną politykę sojuszniczą, potrzeba było zatem wykazywać się większym realizmem: lepszym rozpoznaniem rzeczywistości i analizowaniem jej w kategoriach chłodno kalkulowanych interesów. Planów w tym względzie nie ułatwiały nieustanne w polskiej polityce spory orientacyjne. Owszem, w przypadku każdego państwa zmiany sojuszy są rzeczą naturalną. Największe potęgi europejskie potrafiły jednak prowadzić politykę długofalową, w której porzucanie jednych sprzymierzeńców na rzecz drugich stanowiło jedynie adaptację środków politycznych do zmieniających się realiów, względnie wyraz woli nowego ukształtowania owych realiów. Polska poczyniała sobie zwykle nazbyt chaotycznie – choć stworzenie wspólnego państwa z Litwą uznaje się niekiedy za majstersztyk w dziedzinie strategicznych porozumień (aczkolwiek pojawiały się przecież głosy, że I Rzeczpospolita nazbyt skupiła się na rozwiązywaniu problemów na litewskich rubieżach, lekceważąc swe zachodnie flanki, co ostatecznie obróciło się przeciwko niej). W czasach królów elekcyjnych czynnikiem utrudniającym czerpanie pełnych korzyści z polityki sojuszy były obce wpływy na politykę Rzeczypospolitej. Pół biedy, gdyby zwolennicy związania się ścisłymi więzami współpracy z Francją, Austrią, Szwecją czy jakimkolwiek innym państwem mogli swe zamysły realizować długofalowo. Sęk w tym, że nawet jeżeli dana orientacja – profrancuska, proabsburska czy inna – okresowo zdobywała przewagę, to miała na ogół wątłe podstawy i nie można było przewidzieć, czy polska polityka zagraniczna rychło się nie zmieni, gdy przewagę na dworze zyskają zwolennicy przeciwstawnej opcji. Nie miało to wiele wspólnego z potrzebną w stosunkach międzynarodowych elastycznością. Zmienność polityki zagranicznej I Rzeczypospolitej można raczej uważać za przejaw słabości myślenia w kategoriach racji stanu. Ciągłe jednak pamiętając, że trudniej było przewidzieć konsekwencje poszczególnych strategicznych decyzji w momencie ich podejmowania, niż oceniać je dziś, gdy jesteśmy wyposażeni w wiedzę, co się wydarzyło później.

Geopolityka bezpaństwowa

O ile do początku XVIII wieku – mimo powyższych zastrzeżeń – polska polityka była jednak wyrazem suwerennej woli, o tyle we wspomnianym stuleciu utraciliśmy w znacznej mierze naszą podmiotowość. Opowieści o tym, jak w XVIII wieku, jeszcze przed rozbiorami, Prusy, a zwłaszcza Rosja, z pomocą – niekiedy motywowaną szlachetną intencją, często jednak sowiecie opłacaną – przedstawicielei jej elit, czyniły z Rzeczypospolitej bezwolne narzędzie w swych rękach, są przynębiającą lekturą. Geopolityczna rozgrywka z największymi rywalami o prymat w naszej części Europy nie skończyła się zwykłą porażką. Rozbiory były klęską, wymazaniem z mapy politycznej państwa, które jeszcze wiek wcześniej zdawało się mieć wszelkie dane ku temu, aby zajmować stałe miejsce w gronie europejskich mocarstw. Rzeczpospolita nie tylko nie potrafiła zaprojektować systemu sojuszy, które

uchroniłyby ją od katastrofy, ale w dodatku stanęła w obliczu geopolitycznego paktu, który na długo wykluczył możliwość skutecznej walki o odzyskanie przez nią niepodległości.

Na początku dziewiętnastego stulecia Polacy mogli jeszcze wierzyć w rychłe wykształcenie się korzystnej dla Polski konfiguracji na arenie międzynarodowej, ale już fiasko prób odbudowy Rzeczypospolitej przy boku Napoleona I Bonapartego i ustalenia kongresu wiedeńskiego wskazywały, że wybicie się na niepodległość – rzeczywistość, nie zaś w okrojonej formie, jaką mocarstwa nadały Królestwu Kongresowemu – będzie wyzwaniem bezprecedensowym w dziejach Europy. Przez cały wiek XIX Polacy spierali się więc, jaką politykę powinni prowadzić, wyciągając niekiedy skrajnie różne wnioski z analizy swego geopolitycznego położenia. Jedni sądzili, że niezależnie od niesprzyjających okoliczności należy walczyć. Wierzyli, że powstanie narodowe ma szansę powodzenia. Wsparcia chcieli szukać u odległych sprzymierzeńców, jak Francja; dopiero jej klęska w wojnie z Prusami w 1870 roku położyła kres nadziejom na francuską interwencję. Inni uważali, że tylko oparcie się o jednego z zaborców stwarza szansę na odrodzenie państwowe – tego typu koncepcje rozważano jeszcze w czasie I wojny światowej. Dopóki zaś niepodległość była niemożliwa, należało przynajmniej wywalczyć jak najszerzą autonomię, co udało się w drugiej połowie lat sześćdziesiątych w Galicji.

Nawet po klęsce powstania styczniowego, gdy powszechna już była świadomość, że bez trzęsienia ziemi w europejskiej polityce Polska nie odrodzi się jako niepodległe państwo, postulaty bierności nie trafiały na podatny grunt. Wola bycia aktywnym podmiotem europejskiej polityki nie została stłumiona przez wieloletnią niewolę. Jedno z pewnością się zmieniło: romantyczne porywy, symbolizowane figurą Chrystusa narodów, ustąpiły coraz bardziej przenikliwej i realistycznej analizie położenia narodu. Widać to w publicystyce politycznej przełomu XIX i XX wieku. Polacy dobrze już rozumieli mechanizmy europejskiej geopolityki. Niestety, wciąż wynikały z niej wielkie przeszkody na drodze do realizacji narodowej podmiotowości.

O geopolitycznej złożoności sprawy polskiej pod koniec epoki zaborów świadczą spory orientacyjne z czasów I wojny światowej i podjęte wówczas – przeciwstawne, choć mające ten sam cel: niepodległość – wybory strategiczne dwóch wybitnych Polaków: Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego. Obaj doskonale rozumieli, że trzeba wpisać sprawę polską w szeroki plan zmian politycznych w Europie. W istocie, wojenna rozgrywka geopolityczna przyniosła po raz pierwszy od paruset lat szczęśliwe rozwiązanie z punktu widzenia interesów polskich. Jak karkołomna była to jednak kombinacja świadczy najlepiej to, że początkowe koncepcje Piłsudskiego i Dmowskiego musiały być przez nich w czasie wojny zasadniczo zmodyfikowane.

Korzystna dla Polski geopolityczna konstelacja okazała się zresztą krótkotrwała. Ledwo bowiem Rzeczpospolita odzyskała niepodległość po grze, w której długo była głównie przedmiotem, a już musiała – tym razem jako suwerenny podmiot – wziąć udział w rozgrywce o jeszcze większej stawce, bowiem jej rywalami stały się dwa totalitarne reżimy, prowadzące politykę o skali brutalności dotąd w dziejach Europy niespotykanej.

Geopolityka w imię zasad

W II Rzeczypospolitej prowadzono klasyczne analizy geopolityczne: czy miast polityki opartej z grubsza na równym dystansie wobec obu sąsiadów nie lepiej jasno opowiedzieć się po stronie jednego z nich, przystając na wspólne wystąpienie – być może także zbrojne – przeciw drugiemu. Skrajny polityczny realista, odrzucający moralną stronę polityki, a przynajmniej nie biorący jej pod uwagę w tego typu rozważaniach, mógłby zarzucić elitom II Rzeczypospolitej, że nie zdecydowały się na takie rozwiązanie. Nie sposób jednak abstrahować od moralności. Sojusze z Rosją Stalina czy z Niemcami Hitlera nie byłyby zwykłym porozumieniem, jakich w każdym stuleciu zawiązuje się wiele nawet między mocno odmiennymi kulturowo i politycznie partnerami. Zwykle bowiem fundamentalnym warunkiem takich układów jest respektowanie przez umawiające się strony elementarnych zasad w relacjach międzynarodowych i we własnej polityce wewnętrznej.

Tymczasem alians bądź z komunistami, bądź (do czego było potencjalnie znacznie bliżej) z nazistami oznaczałby nie tylko zwiększenie ryzyka uwikłania Polski w konflikt

zbrojny – a przecież długo liczono, co okazało się błędną kalkulacją, że uda się go uniknąć, a przynajmniej wydatnie odwlec w czasie – ale także związanie się z państwem, którego oficjalna ideologia i praktyka daleko wykraczały poza to, co dałoby się zaakceptować w imię racji stanu i politycznej skuteczności. Komunizm sowiecki był powszechnie krytykowany przez wszystkie liczące się nurty polityczne jako zaprzeczenie zasad fundujących cywilizację europejską. Również polityka Hitlera, nawet jeszcze zanim ujawniła w całej pełni swój zbrodniczy charakter, nie zyskiwała uznania, a jej rasistowskie założenia – poza niewielkimi radykalnymi środowiskami – jednoznacznie odrzucano. Z oboma totalitarnymi reżimami prowadzono oczywiście grę dyplomatyczną. Droga od tego do ścisłego sojuszu z nimi była jednak daleka. Nie zdecydowano się nią podążyć. Z perspektywy czasu – mimo że Polska stała się największą ofiarą wojny, najpierw najechana i wyniszczona przez III Rzeszę, a potem, po rzekomym zwycięstwie, zniewolona przez drugiego wroga – trudno odmówić racji przywódcom II Rzeczypospolitej, którzy uznali, że droga ta była dla kraju nie do zaakceptowania. Można im zarzucać szereg błędów, na przykład zbyt wiarę w sojuszników, długie niedocenywanie zagrożenia wojennego, przecenianie własnych sił czy zbyt wolną – mimo wszystko – modernizację państwa (choć świadomość wyzwania, jakim była wówczas konieczność scalenia w jeden organizm obszarów przez dziesięciolecia poddanych trzem różnym systemom administracyjnym, prawnym i gospodarczym, a i odmiennym wpływom kulturowym, każe z dużą ostrożnością formułować zarzuty nie dość szybkiego tempa rozwoju II Rzeczypospolitej, zwłaszcza gdy się weźmie jeszcze pod uwagę wielki światowy kryzys gospodarczy, którego skutki nie ominęły przecież Polski). Poczucie, że istnieją granice, których w polityce nie wolno przekroczyć, nawet jeśli ceną jest klęska, po raz kolejny jednak wzięło górę w polskim myśleniu politycznym. W tym względzie druga Rzeczpospolita kontynuowała tradycje pierwszej.

Polska nieraz przegrywała geopolityczne rozgrywki przez swój brak skłonności zaborczych i niechęć do ignorowania zasad, które kraje odnoszące sukcesy w polityce międzynarodowej nagminnie naginały lub wręcz jawnie lekcewały i łamały. Zapłaciła za to wielką liczbą ofiar i długimi okresami zniewolenia. Być może gdyby potrafiła się lepiej organizować wewnętrznie, byłaby w stanie – nawet nie idąc drogą swych największych w dziejach rywali – zmniejszyć straty i na krócej tracić niepodległość. To są jednak dywagacje, których nie sposób jednoznacznie rozstrzygnąć. Wszak zwiększenie jeszcze siły oporu – który i tak przecież bywał w skali Europy wyjątkowy – mogłoby nie przynieść wymiernych sukcesów, a jedynie spotęgować zniszczenia ludzkie i materialne. Zresztą i w XIX, i w XX wieku nie brakowało głosów, że broniliśmy się zbyt nieprzejednanie, zwłaszcza niepotrzebnie wszczynając powstania, które i tak kończyły się klęską, wielkimi stratami i wzmożeniem represji. Realizm i idealizm stale się krzyżowały w polskim myśleniu politycznym. Geopolityczne uwarunkowania znacznie utrudniały wyważenie obu tych podejść. Na poziomie opisu rzeczywistości byliśmy na ogół realistami. W praktyce działania idealizm brał niekiedy górę.

Geopolityczne sprawy wewnętrzne

Realia geopolityczne wpływają w oczywisty sposób na wybory w polityce wewnętrznej: na to, w jaki sposób buduje się instytucje państwa, kogo chciałoby się widzieć u steru jego rządów, jakie inwestycje infrastrukturalne uznaje się za priorytetowe itp. Naród zniewolony musi rozstrzygać dylematy jeszcze bardziej złożone. Wspominane spory z czasów zaborów dotyczyły jednak nie tylko tego, czy bić się czy poniechać powstań, ale także codziennego funkcjonowania w ramach podbitego państwa. Pytanie o skalę uczestnictwa w podporządkowanym zaborcy aparacie władzy – nawet na niskich jego szczeblach – i związaną z tym granicę kompromisu było stale obecne w XIX i na początku XX wieku. Stawiano je także wtedy, gdy Polacy współzrządzili Austro-Węgrami i zasiadali w rosyjskiej Dumie, a myśl o kolejnym zrywie zbrojnym – nie czekającym na przesilenie w polityce europejskiej – zajmowała już tylko niewielkie kręgi konspiratorów. Po raz kolejny musiało ono paść w PRL-u, gdy rzeczywistość zaczęła kształtować w myśl idei komunistycznych, jakie przed 1939 rokiem były przez Polaków powszechnie odrzucane. Oni tej nowej rzeczywistości nie wybrali, została im narzucona przez Sowietów, przy akceptacji Anglii i Stanów Zjednoczonych, które

poświęcili niezależność Rzeczypospolitej w imię własnych geopolitycznych interesów (i trzeba przyznać, że w kategoriach realizmu politycznego ich decyzja daje się obronić, jakkolwiek ma dwuznaczną wymowę moralną...). Polacy musieli się ponownie odnaleźć w realiach państwa niesuwerennego, tyle że tym razem objętego ścisłą kuratelą jednego tylko zaborcy – Moskwy – sprawującego swoje władztwo inaczej niż w czasach zaborów, bo formalnie respektującego niepodległość Polski i powierzającego najwyższe w niej funkcje Polakom, oczywiście wiernym sobie. Raz jeszcze geopolityka zdawała się determinować sytuację narodu i raz jeszcze okazało się, że kalkulowanie jego przyszłości w oparciu o przekonanie o niezmienności tej pierwszej bywa zawodne.

Można toczyć zawzięte dyskusje, czy rację mieli ci, co – jak neopozytywiści z kręgu „Znaku” i „Tygodnika Powszechnego” – postulowali pogodzenie się z peerelowską rzeczywistością, bo ich zdaniem geopolityczne uwarunkowania nie zostawiały w tym względzie żadnego wyboru, czy ci, którzy – jak Józef Mackiewicz – tego typu realizm uznawali za kolaborację, a przynajmniej za wielki błąd polityczny, bo przystanie na reguły państwa komunistycznego oznaczało w ich przekonaniu jego wzmocnienie, wskutek czego założenie niezmienności warunków stawało się czymś na kształt samosprawdzającej się przepowiedni. Niewątpliwie w wielu przypadkach powoływanie się na sytuację międzynarodową stanowiło próbę wytłumaczenia własnych wyborów życiowych. Swoistej racjonalizacji przez geopolitykę mogła podlegać decyzja zarówno o pozostaniu na emigracji, jak i o wydawaniu koncesjonowanego pisma katolickiego. Motywacje bywały rozmaite i takie też mogą być ich oceny. Zastanawiające jest jednak to – na co nie ma prostego wytłumaczenia – że chyba nigdy w dziejach polskiej refleksji geopolitycznej przekonanie o niezmienności warunków na arenie międzynarodowej nie było tak powszechne jak w czasach PRL-u. Czy zabrakło przenikliwości, odwagi myślenia i wizjonerstwa, czy może raczej po prostu dostępu do empirycznych danych, które pozwoliłyby – co zresztą nieliczni analitycy uczynili – w drodze chłodnej analizy wysnuć tezę o niewydolności systemu, na tyle poważnej, że niemożliwej do opanowania i oznaczającej nieuchronność jego rychłego bankructwa i demontażu? Zapewne wszystkiego po trochu.

Zaskoczenie relatywnie szybkim upadkiem komunizmu nie tylko jest wyrażane w wspomnieniach spisanych czy wypowiedzianych po 1989 roku, ale znajduje swoją zapowiedź w wielu artykułach drugoobiegowych czy też publikowanych na emigracji, gdzie o systemie komunistycznym i bloku wschodnim pisało się z reguły w kontekście ich przyszłego długiego trwania. Jeśli snuto wizje upadku sowieckiego imperium, to raczej wskutek kolejnego globalnego konfliktu militarnego, choć im więcej czasu upływało od II wojny światowej, tym rzadziej przywoływano tę apokaliptyczną drogę odzyskania suwerenności. Wizjonerów wieszczących, że żelazna kurtyna rozpadnie się pokojowo, w znacznej mierze dzięki masowym protestom w Polsce, długo nie było. Tym razem geopolityka naprawdę zaskoczyła Polaków – na szczęście zgodnie z ich interesami. O ile jednak w sferze refleksji politycznej zdawali się przez długie lata nie wierzyć w jej odmianę, o tyle w praktyce działania znowu nie pozostali bierni. Kolejne fale protestów, a zwłaszcza fenomen pierwszej Solidarności, uczyniły ich ponownie aktywnymi uczestnikami gry geopolitycznej, nawet jeśli wielu – a może zdecydowana większość – nie domyślała się nawet, w jak doniosłym procesie bierze udział.

Zasady wiecznie żywe

Dzieje polskiej geopolityki są historią fascynującą, bo wielowątkową i w skali Europy bezprecedensową. Nie dziwi więc, że inspirowały one wielu wybitnych polskich myślicieli. Być może często nie radziliśmy sobie zbyt dobrze z geopolitycznymi wyzwaniem, ale za to niezmiennie ciekawie o nich pisaliśmy. Dorobek Adolfa Bocheńskiego, Stanisława Koźmiana, Stanisława Cata-Mackiewicza, Władysława Gizberta-Studnickiego, Romana Dmowskiego, Włodzimierza Bączkowskiego, Juliusza Mieroszewskiego, Juliana Klaczki, Wojciecha Wasutyńskiego, Mirosława Dzielskiego i wielu innych publicystów i polityków pokazuje, że z myśleniem politycznym Polaków nie było najgorzej. To, że często nie udawało się wykorzystać ich wnikliwych obserwacji i wcielić w życie trafnych koncepcji – choć czasem też się mylili w prognozach i podsuwali nieudane pomysły – wynikało tyleż z ułomności praktyki politycznej, co z tylekroć już w tym tekście podkreślanej niezwyklej komplikacji wyzwań, przed jakimi Polacy stawali często w relacjach międzypaństwowych.

Niewątpliwie jednak warto się odwoływać do tego dziedzictwa, wszak Polska wciąż uczestniczy w geopolitycznej rozgrywce. Warunki gry są na szczęście zupełnie inne niż w minionych stuleciach. Nasza podmiotowość pozostaje jednak wartością, o którą trzeba zabiegać. Nie grozi nam napaść zbrojna (aczkolwiek nie można zakładać, że to sytuacja dana raz na zawsze), ale przecież nasi sąsiedzi nie wyrzekli się swych interesów i pokojowo (przynajmniej w tej części Europy, bo na Kaukazie bywa już zgoła inaczej), lecz konsekwentnie próbują je realizować. Nie zawsze są one sprzeczne z polską racją stanu, niemniej chociażby kwestia bezpieczeństwa energetycznego dobitnie dowodzi, że wizje nastania czasów niczym niezmaconej, szczerzej, nieantagonistycznej współpracy międzynarodowej mogą zaprzętać tylko niepoprawnych optymistów.

Polska wciąż należy do grona krajów, które nie forsują agresywnie swoich interesów na arenie międzynarodowej – czasami wydaje się nawet zbyt powściągliwa pod tym względem. Wprawdzie nie należy też ulec iluzji, że stać nas już na odgrywanie pierwszoplanowej roli w Europie. Nie możemy jednak być pasywni i redukować się do roli przedmiotu w grze możliwych tego kontynentu. Musimy być podmiotem tej gry. To fundamentalna zasada polskiej racji stanu i interesu narodowego, czego dzieje polskiej geopolityki dobitnie nas uczą.